



W SPRAWIE SŁOWNIKA IMION WŁASNYCH.

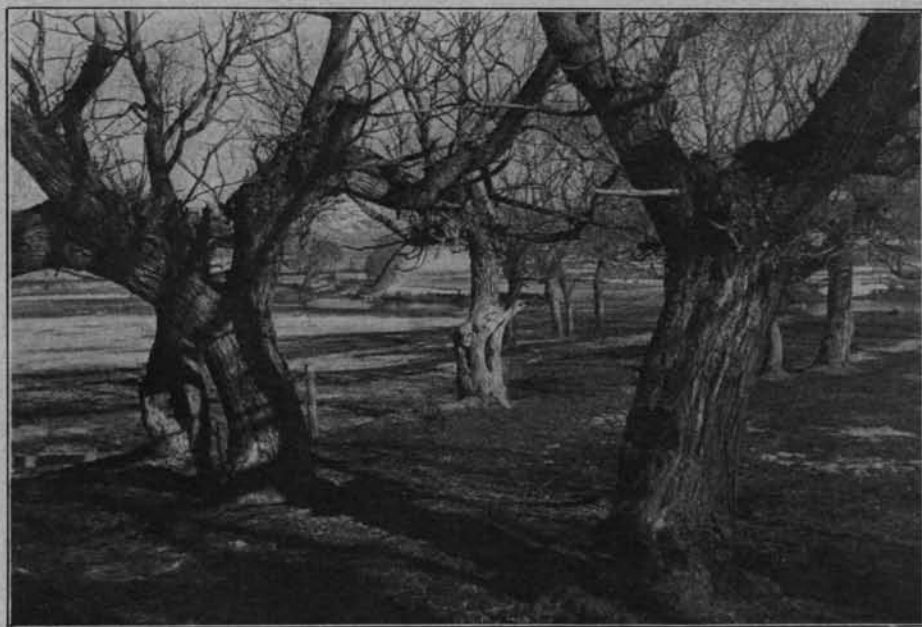
P. Zygmunt Gloger poruszył w N-rze 4-ym „Ziemi“ moment bardzo ważny. Wobec powagi nazwiska zasłużonego badacza właściwie dyskusja o tym przedmiocie jest zbyt zbyteczna.

Zabierając głos w tej sprawie, ośmielałem się dorzucić tylko niektóre dodatkowe uwagi, pożądane może dla ochotników, którzyby byli gotowi pójść za wezwaniem czciwego autora.

Przedewszystkiem wypada w zestawieniach rozróżnić dokładnie kategorie nazw, a to w pierwszym rzędzie nazwy osób od nazw miejscowości. Następnie ważną okolicznością jest podanie ściślego brzmienia nazwy. Ponieważ na znacznym obszarze ziem dawnej Polski obok ludności, używającej w mowie codziennej języka polskiego, mieszkają szczepy pokrewne, ale różniące

się językiem (Rusini czyli tak zwani urzędownie Małorusini, Białorusini, Litwini): przeto niezbędną jest rzeczą podawać obok nazwy, używanej w pi-

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



2. WIERZBY PRZYDROŻNE.

Fot. J. Buthak.

śmiennym języku polskim, nazwę lokalną w brzmieniu właściwego okolicy języka lub narzecza. Nadto należy pamiętać, że niejedna nazwa w ciągu dziejów

zmieniła swą formę gramatyczną; pożądaną tedy jest rzeczą sprawdzić na podstawie starszych dokumentów, jakie było pierwotne brzmienie imienia i na jakiej podstawie, pod wpływem jakiej analogii nazwa ta uległa zmianie.

W końcu muszę zaznaczyć, że zestawienie samych nazw daje właściwie tylko katalog imion. Słowniki powstaną dopiero, gdy będzie można przy każdym imieniu podać jego wytłomaczenie. Ta sprawa wymaga niesłychanej przeczności, aby przez zbyt pośpieszne sformułowanie wniosku nie dać powodu do daleko idących błędnych wywodów i dedukcji. Warto przypomnieć, jakie znaczenie miało wyjaśnienie pierwotnych nazw miejscowości, dane przez prof. Tadeusza Wojciechowskiego w I tomie jego „Chrobacy”; warto też przypomnieć to, co o tłumaczeniu nazwisk pisali uczeni Słoweniec, Miklosicz, a dalej profesorowie Baudouin de Courtenay i Brückner. Od dłuższego czasu zajmowałem się studyowaniem nazwisk geograficznych Rusi Czerwonej w takiej rozciągłości tej historycznej krainy, jaka się mieści w granicach dzisiejszej Galicji, a więc z dodaniem przyległych skrawków dawnego Podola i Wołynia, zajętych w r. 1772 kordonem austriackim, a także Chełmszczyzny, która za czasów Rzeczypospolitej była częścią województwa ruskiego, ale od r. 1809 uległa odmiennym kolejom losów. Z obszaru tego podaję w porządku alfabetycznym niektóre imiona, jako przykłady konkretne, wyjaśniające to, co powyżej powiedziałem:

1) Akreszory—wieś w powiecie peczeniżyńskim (na południowy zachód od Kołomyi). Aby dać wyjaśnienie nazwy tej miejscowości, potrzeba sięgnąć do języka rumuńskiego.

Wyraz „akrû” oznacza w tym języku „kwaśny, akreszoru” — kwaśniutki. Nazw pochodzenia rumuńskiego jest w tej okolicy wielka ilość, np.: wsie Brustury, Bungury (znana w naćciarstwie galicyjskim słoboda Bungurska), Szeszory, może także Tekucza(?) (która jednakże może być też prasłowiańskim nabytkiem rumuńskiego języka), Utoropy(?), góry Bałtoğuł, Harmatura, Munczel, Pożeretul i t. d. Dowodzi to, że badacz, zajmujący się krajoznawstwem, musi w niektórych razach sięgnąć do studjum romańskich języków.

2) Biłohorszcze. Wieś o zaludnieniu polsko-ruskim, nosząca tę nazwę, leży tuż za gródecką rogatką miasta Lwowa. Szukając wytłomaczenia tej nazwy, każdy gotów chwycić za najbliższe wyrazy ruskie. Wyraz biłyj w języku galicyjsko-ruskim oznacza — biały; wyraz hora (z akcentem na a)—góra. Tymczasem w Biłohorszczu niema żadnej ani białej, ani czarnej góry.—W dokumentach XVI i XVII wieku, znajdujących się w bogatym Archiwum miejskim lwow-

skiem, nazwa ta brzmi: Biłohoszcz; należy przeto do tej samej seryi nazw miejscowych, co znajdujące się w innych stronach naszej ojczyzny miejscowości: Bydgoszcz, Małogoszcz, Radgoszcz. Nazwy te, utworzone za pomocą prasłowiańskiego suffiksu *in*, powstałego z *i*, oznaczają Bydgostowa wieś, Małogostowa wieś, Radgostowa wieś. Był więc i w okolicy Lwowa jakiś Rusin „Biłohost” (po polsku „Białogost”), którego imię przechowało się w nazwie tej osady.

3) Bindiuha. Miejscowość tej nazwy znajduje się w powiecie sokalskim nad Bugiem, jako przysiółek wsi Poturzyca. Jeszcze w początkach XIX stulecia brzegi górnego biegu tej rzeki były okryte wielkimi lasami, których resztki przechowały się koło Jastrzębicy, Radwania i na obszarze klucza poturzyckiego, należącego do ordynacji hr. Dzieduszyckich. Z lasów tych spławiano Bugiem drzewo w pniach, powiązanych w trawy. Wiązanie wykonywali niemieccy robotnicy nad Bugiem. Z niemieckiego wyrazu binden (wiązać) utworzyli okoliczni wieśniacy ruscy wyraz Bindiuha.

Wytłomaczenie to podał mi zasłużony założyciel Muzeum i ordynacji ś. p. Włodzimierz Dzieduszycki. Należy jednakże nadmienić, że urzędowy wykaz miejscowości, wydany przez austriackie Ministerstwo Handlu (Post Lexicon z r. 1881) ma formę Bendiuha (Będiucha) i że miejscowości tej samej nazwy znajdują się koło Reklina i Strzemia w powiecie żółkiewskim (także w lesistej okolicy, jako przysiółki), tudzież koło Czernichowa Ruskiego w powiecie tarnopolskim. Koło Grochowa (w powiecie przemyskim) jest przysiółek Bindoliny, a koło Nakwaszy w pow. brodzkim młyn Bindas.¹⁾

4) Bołszowiec czy Bolszowce. Mieścina tej nazwy znajduje się w powiecie rohatyńskim nad rzeczką Gniłą Lipą, o milę na północ od Halicza. Jeszcze przed 50 laty znana była w okolicy wyłącznie nazwa Bołszowiec, a Mieczysław Górąski opisał w „Przyjacielu Ludu”, wychodzącym we Lwowie, „odpust w Bołszowcu”. Dzisiaj coraz częściej wchodzi w używanie nazwa „Bołszowce” (analogiczna do nazw Boryszkowce, Capowce, Wapowce) i nawet urzędowy Szematyzm galicyjski wymienia szkołę „w Bołszowcach”. Urzędowy „Post Lexicon” ma obie nazwy, ale daje pierwszeństwo nazwie nowszej. Tymczasem tuż obok jest pierwotna osada „Bołszów” (po rus. Bousziw), z której nazwiska utworzono zdrobniały wyraz pochodny „Boł-

¹⁾ Bindugi nad Narwią, Czarną Hańczą i in. (przyp. red.)

szowiec" (po rusku Bouszowec) — mały Bołszów, według tej analogii, jaką tworzą nazwy Kraków—Krakowiec, Bachórz—Bachórzec, Wiśniów—Wiśniowiec i t. d.

5) Czew. Jest to nazwa rzeki, wpadającej do Dniestru na północ od Halicza, znanej w urzędowej terminologii geograficznej pod nazwą Łomnica (po rusku Łównycia). Nie mogłem sprawdzić, o ile ta druga nazwa jest rozpowszechniona wśród ludu. Faktem jest, że wieśniacy, mieszkający w pobliżu ujścia tej rzeki, nazywają ją tylko Czew (w dalszych przypadkach Czwi i t. d.). Nazwę tą spotyka się także w nazwisku pola, należącego do dotychczasowego probostwa w Haliczu, które się nazywa: „Zaczew-ie”. Czy w nazwisku tem spółgłoska *w* jest rdzenna, czy też należy do przyrostka, właściwego całemu szeregowi nazw rzecznych (Nar ew, Pelt-ew), to byłaby rzecz do zbadania. Należy też zaznaczyć, że do rzeki tej wpada koło Roźniatowa duży dopływ o nazwie, powstałej jakby przez reduplikację: Czeczwa.

6) Duba, Dubszara, w powiecie dolińskim. Nazwa wsi Duba jest identyczna z nazwą rzeczki górskiej Duba, która wypływa w Dubszarze, przepływa Roźniatów i wpada do Łomnicy. Lingwistów, skorych do pośpiesznych wniosków, pociąga łatwo chęć wyprowadzenia nazwy rzeki i wioski od nazwy drzewa. (Dąb nazywa się po rusku dub). Ta jest tylko trudność, że okoliczną wegetację gór i podgórze Karpackiego cechuje raczej obfitość świerków i innych drzew szpilkowych. Dąb jest tu rzadkością, przyniesioną skądinąd. Nazwa wsi Dubszara, położonej u źródeł rzeczki, stoi niewątpliwie w związku z nazwą rzeki; ale druga połowa tej nazwy jest zagadkowa: nie wiadomo, czy to osobny wyraz szara (o nieznanem znaczeniu), czy przyrostek ara, co do istoty swej także niebardzo jasny; w wykazach figuruje ta miejscowość jako Dubszara; lud okoliczny wymawia „Dubszera”, przegłaszając *a* tak, jak w innych wyrazach, w których pierwotne *a* po spółgłoskach miękkich i podniebiennych brzmi jak *e* (—ie); np. Kryczaty — Krycziety, Bereżany — Bereżieny i t. d.

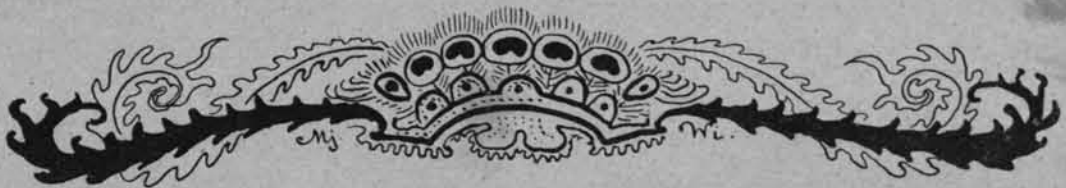
Nazwy, pochodzące od dębu, czy to w polskiej czy w ruskiej formie tego wyrazu, są bardzo pospolite na obszarze, tu omawianym. Wątpliwości co do derywacji nie brak i gdzie-

indziej. Tak np. koło Kozowy w powiecie brzeżańskim jest wieś Dubszcze, którą urzędowy leksykon pocztowy podaje także w formie Dubrszcze. — Nie zawadzi dodać, że w ziemi krakowskiej jest nie tylko Dębie (nad Wisłą pod Krakowem) ale i Dubie (w powiecie chrzanowskim, na wschód od Krzeszowic, nad potokiem, wpadającym do Rudawy). Wręcz nieprawdopodobną jest rzeczą, ażeby źródłem tej nazwy była ruska forma wyrazu „dąb”. Także w powiecie bocheńskim jest koło Kurowa przysiółek: Dubielice (—potomkowie jakiegoś Dubiela?). Te okoliczności każą tembardziej zastanowić się, czy w nazwach tu omówionych, nie przechowują się jakie prastare nazwiska obcego pochodzenia. (Mimowoli przypomina się celtycka nazwa rzeki Doubs we francuskiej krainie pod górami Jura).

7) Dźwinogród. Nazwa to bardzo starożytna. Już w XI i XII stuleciu było na Rusi Czerwonej obok przemyskiego i trembowelskiego księstwo dźwinogrodzkie. (Ze zjednoczenia wszystkich trzech powstało w pierwszej połowie XII stulecia księstwo halickie). Jest Dźwinogród w powiecie bobreckim, w pobliżu Lwowa; jest też Dźwinogród w powiecie buczańskim a trzeci Dźwinogród w odległym powiecie borszczowskim (w kącie między dolnym Zbruczem a Dniestrem). W tym samym powiecie podolskim jest także Dźwiniaczka, a inna Dźwiniaczka znajduje się w górzystym powiecie nadwórniańskim. W sąsiedzącym z powiatem borszczowskim powiecie zaleszczyckim jest Dźwiniacz, a naprzeciw samych Zaleszczyk za Dniestrem, po bukowińskiej już stronie, Dźwiniacze (w okolicy, odznaczającej się bogactwem wykopalisk, pamiątek i nazw zagadkowych, jak np. Kreszczatyk, Babin, Probabin, Horodnica i t. d.). Nazwa Dźwiniacz powtarza się w górskich powiatach bohorodczańskim, liseckim i tureckim a także w oddalonym od nich znacznie brzeżańskim. — Czy nazwy tych miejscowości mają jaki związek z nazwą rzek większych, wykazujących to samo brzmienie (Dźwina), to jest zagadką. Przeważna ilość miejscowości, wymienionych wyżej, leży w pobliżu rzek, rzeczułek lub potoków, z których niektóre noszą nazwy podobne (Dźwiniacz, Dźwiniaczka). W tym razie ważną jest rzeczą do rozstrzygnięcia, czy nazwa rzeki pochodzi od nazwy miejscowości, czy też odwrotnie.

Lwów.

Bolesław Adam Baranowski.



Krajoznawstwo na III wystawie „Odłamu“.



TOPOLE.

Mal. Teodor Ziomek.

„Telimena chwaliła malowania próby tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby“, a ołówkowy szkic Hrabiego przyrzekła schować do szuflady nieśmiertelnego biurka, gdzie było nawet parę rysunków Orłowskiego.

Światowa ciocia nie omieszkała jednak rzucić paru złotych myśli o upośledzeniu przez naturę ziem polskich, przesyłając wzorem starej damy z komedii angielskiej, melancholijne westchnienie ku południowi, gdzie zawisło „le beau ciel d'Italie“:

*..... O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! Różowe Cezarów ogrody!
Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To Hrabio kraj malarzów, u nas—żał się Boże!
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,
Umrze pewnie, mój Hrabio.*

Długi pobyt w Peterburku przytępił zapewne u pani Telimeny zdolność zachwywania się przyrodą ojczyzną, którą wyczuwał nawet prosty i nieskomplikowany duch Tadeusza. Zresztą w soplicowskim dworze nie ukazał się jeszcze Oskar Wilde ze swą paradoksalną teorią o kształtowaniu się natury na wzór sztuki: „natura, zarówno jak życie, jest naśladownictwem sztuki, naśladuje ona pejzażystę i od niego otrzymuje swe siły. Od wieków mgły istniały w Londynie, ale nikt ich nie widział, póki ich sztuka nie odkryła. Gdy sztuka stanie się wszechstronniejsza, natura również będzie urozmaicona“.

Tłumacząc ten genialny fajerwerk na prosty język, będzie to brzmiało: artysta potrafi wynaleźć w naturze efekty, koło których obojętnie przechodzi zwykły człowiek codziennie, a zaklawszy je w dzieło sztuki, nadaje im stygmat wiekuiściego piękna.

Otóż za czasów ciotki Telimeny taka sztuka polska nie istniała jeszcze. W Tatrach panowali zbójnicy, w Ojcowie kmiotkowie łapali dla starościńskiego dworu pstrągi, więcej przeklinając skalistość gruntu, niż zachwycając się jego pięknnością. „Wsi nadobna, wsi wesola“ było zdawkowym frazesem dostatniego żywota, a prostotę i piękno natury przedstawiały damy w pudrowanych peruczkach, pasące białe baranki z niebieską wstążeczką i srebrnym dzwoneczkiem na szyi.

Wielkie i wspaniałe odrodzenie Polski XIX stulecia sprowadziło przewroty w jej życiu duchowym. Rozwinęło się nad jej polami królestwo boskiej sztuki, kreśląc swe loty we wszystkich jej gałęziach. Po wzorowanych na Wersalu pasterkach przyszło zdrowe, upajające powietrze swojskie. Dusze artystów chłoneły w siebie tematy z otaczającej natury, z doli chłopskiej, z tęsknoty opalowych mgieł, z melancholii ściernisk, ze zgarbionych chat. Barwiste wełniaki zakryły sobą pudrowaną sielankę wielkopańską. „Le beau ciel d'Italie“ zaciągnęło się chmurami nabrzmiałymi burzą, a chociaż jeszcze błakają się na wystawach „Cyprisy z pod Sieny“, „Forum Nervae“, „Piazzetta w Wenecji“ lub „S. M. Novella“, to jednak gęsto i krzepko obok nich wiszą pejzaże: „Z nad Dubisy“, „Rynek Starego Miasta“, „Motyw z Połagi“, „Fantazje łowickie“ lub „Z nad Pilicy“.

Prąd ten swojskości wybitnie zaznacza się na III wystawie „Odłamu“, która na Kwiecień i Maj zajęła salony Zachęty. Na 168 numerów katalogu 85, a więc połowę wystawionych dzieł zaczerpnięto z natury i ludu ziem polskich. — Zwiedzenie wystawy jest niejako wycieczką nie tylko w dziedzinę sztuki, ale „na te ziemie, na te wody“, z którymi związane jest serce każdego z nas tysiącnymi węzłami i dlatego tak dziwnie swojsko, tak dobrze jest na III Wystawie „Odłamu“. Każdy być tam powinien i to nie raz, lecz kilka razy, za każdym bowiem razem nowe tam odnajdzie piękności, a nadewszystko ukoję się ciszą.

Cisza natury, spokój równiny jest wybitną cechą pejzażu wystawy. Szedłby człowiek dumając, lub wypoczywając myślą po miedzy obok ładu

kwitnącej koniczyny „O Zachodzie“ Ziomka, lub pod jego „Topolami“ zasiałby zatopiony w ciszę. Spokój tchnie w „Ogrórcu“ Uziębły, cisza „Przed Zachodem“ Piekarskiego. Słodka wiosna budzi „Ule“ Bartła, słodka wiosna idzie przez „Ogród“ Stankiewiczówny.

Wybitna ta malarka dziewięć prac dała na wystawę. Dziewięć pereł czystej wody, wśród których przeważają motywy, czerpane z „relikwiarza Warszawy“, z dzielnicy staromiejskiej. Połąc rynku z efektami oświetlenia nocnego jest prawdziwą ozdobą wystawy. Wybitnie też zaznaczył się młody malarz, Józef Ryszkiewicz (junior). I u niego „nad Dubisą“ panuje słodka cisza i wypoczynek, natomiast „Brony“ pracują z wysiłkiem, rozbijając ciężkie grudy ziemi na miękkie posłanie, kolebkę dla ziarn.

Stary lew, Wyczółkowski wystawił śliczne, śmiało rzucone motywy z Połagi i typy dziewcząt wiejskich. A króluje w krajobrazie Chełmoński, wywołując w widzu nastroje swą zdumiewającą prawdą: jeżeli w „Kuropatwach“ czuło się zimno zamieci śnieżnej, jeżeli w „Głosie z Litwy“ szedł na widza rzeźwy powiew rodzącego się z mgieł poranku, to w obecnym „Krajobrazie z Podola“ upaja blask słońca i bujna radość traw, słodkie drżenie złocistych główek kwiatków i opale lekkiej mgły, zacierającej kontury dalekiego horyzontu. Dał malarz w swej pracy całą charakterystykę Podola, jak dał ją Pol w Pieśni o Ziemi „jasne słońce nad Podolem, a w Podolu, jak w stodole“.

Dał Odłam też trochę typów ludowych, jak Lenca i Krasnowolskiego prezentamentalnionie dziewczęta; za to tchną życiem pastele Kędzierskiego „Fantazje łowickie“ z filuternemi księżankami. Do tej kategorii zaliczyłyby też można Madonny Vlastimila Hofmana. Te Dzieciątka i ten Święty Jan, spowici w grube kraciaste chusty przed wiosennym chłodem, ta Madonna, wyglądająca na paromorgową gospodynię, najzupełniej może trafić do serca chłopskiego, które z przekonaniem twierdzi, że Paniezuś mówił po polsku, a Pan Bóg jest gazdą na hrubszym gospodarstwie. Taki też, prawdziwie chłopski Paniezuś widnieje na obrazie Grombeckiego „Chłopska modlitwa“: pierwotnie, ale z prawdą ciosany drewniany Chrystus, w tiulowe firanczki i zeschnięte kwiaty ozdo-

biony, na szyi ma ordynarnie różowy krawat, na nitce uwiązany. Wszystko to takie proste, takie pierwotne, a takie pełne słodyczy. Przed takiego Jezusicka niesie swe żale i błagania chłop, którego pradziad modlił się temiż słowami do groźnego „Światowida“, jakim go przedstawił Wawrzeniecki. Ten wszystko wiedzący „bóg Polan“ panuje nad dalekim krajobrazem. Ręka kapłana przepasała go

wieńcem kwiatów, który na obrazie zdumiewa swą plastyką. Miecz i święty róg wiszą u posągu, a ozdobnie wykuwana swastyka, pamiątka praaryjskiej ojczyzny, zwisa mu u pasa.

Ciekawą też rzecz dał na wystawę Czesław Przybylski, a mianowicie projekt przeróbki Opactwa Sulejowskiego na Szkołę Rolniczą ziemi piotrkowskiej, ale zamiary te winny być szerzej omówione na łamach „Ziemi“, przez autora projektu, jemu więc należy zostawić głos.

Niespełna miesiąc już tylko gościć będzie „Odłam“ w Zachęcie. W ciągu miesiąca tylko będzie można zachwycać się „Orką“ Tetmajera, „Pietą“ Hofmana, Krajobrazami Skotnickiego, „Porankiem“ i „Wieczorem“ Popowskiego, „Malwami“ Piekarskiego, Al. Janowski.



ŚWIATOWID
BÓG POLAN.

Mal. M. Wawrzeniecki.

go, całą tą wiejską ciszą i spokojem, jakim tchnie pejzaż „Odłamu“.



Z wycieczki do Parany.

7)

Niektórzy ze starszych gospodarzy skarżą się na samotność, na to, że dzieci uciekają im do miasta, dokąd pociąga je większa łatwość życia, wesołość, gotówka za pracę. Po sprawdzeniu okazuje się, że przeważnie w takich wypadkach winni są rodzice; złe stosunki domowe, pijaństwo ojców są w tych wypadkach względami decydującymi.

Przypomina mi to ciekawy sposób przywiązywania dzieci do ziemi, stosowany bardzo często. Oto kilkunastoletnim wyrostkom wydzielają kawałki gruntu, które mają prawo uprawiać poza czasem roboczym na szakrze rodziców; plony należą do dzieci. Nieraz zarabiają dość dużo, pracując dla siebie przed wschodem i po zachodzie słońca.

Odwiedzam szkołę tow. Św. Józefa, założoną niespełna od roku. Budynek wzniesiono z ofiar, mieści salę szkolną i mieszkanie dla nauczyciela. Towarzystwo liczy 33 członków; dzieci uczy się 60.

Szkoła licha. Dzieci czytają jeszcze jako tako, ale kajety wyglądają zupełnie źle, a rachunki stoją niżej wszelkiej krytyki.

Coprawda, trudno czegoś wymagać za te 30 milów, które płacą miesięcznie nauczycielowi, p. Stychalskiemu, zupełnie zafukanemu przez nędzę. Mają wprawdzie ojcowie dodawać po alkrze zboża miesięcznie, ale faktycznie nie dodają. Rodzice, posyłający dzieci do szkoły, płacą tu podatek do towarzystwa, wynoszący mila od szakra miesięcznie.

Prezes towarzystwa, Kasper Wałęga, z Galicyi, zarabkował początkowo, potem skupował potrochu ziemię, płacąc po 50, 280 i 500 milów za alquier, zależnie od dawności kupna. Dziś ma 24 alkry i jest gospodarzem zamożnym.

Inni, zebrani w szkole są także zamożni. Wszyscy z Galicyi; mają dziś do dziesięciu alkrów każdy, choć zaczęli różnie.

Następna z kolei kolonia Ferraria jest mieszana, polsko-włoska. Częściowo składają się na nią szakry rządowe, częściowo zakupione od Brazylian. Te szakry pierwotne były małe, obejmowały bowiem zaledwie po trzy alkry.

Wielu zostało na tej ziemi, bo nie mieli gdzie dokupywać. Ale cechą charakterystyczną tej kolonii jest, że koloniści dorabiają się na robotach opodal, w lasach, u Brazylian, na t. zw. party, to znaczy, że właścicielom oddają pewną część zbiorów, jak tu np. część czwartą.

Szarańcza była, ale nie była klęską, częściowo tylko zaszkodziła zbiorom. Zwalczali ją zresz-

tą energicznie: bili społem, palili, wykopywali i niszczyli jaja.

Notuję tu porządne gospodarstwa i świadczące o zamożności obejścia: Zycha, Wiśniewskiego i Lipki z Prus.

Cała następna kolonia, Rivierre, ani pod względem zaludnienia, ani rozmiaru szakrów nie różni się w niczem od poprzedniej. Chyba może stan ekonomiczny jest nieco gorszy.

Za to położenie cudne—w wysokiej, zamkniętej ze wszystkich stron kotlinie, siedzą bardzo gęsto chaty. A kiedy się wyjeżdża potem na wysoką górę roztacza się olbrzymi widok, aż do dalekich serr, łańcuchów gór za Kurytybą. Dołem wije się fantastycznymi skrętami mała rzeczka Passaona, bardzo długa, bo widzę ją prawie ciągle aż od Araucaryi.

Odwiedzam już o zmroku dwóch wendystów w Orleansie, obu z Prus Zachodnich, którym się powodzi bardzo dobrze i którzy chwalą sobie Parane, przekładając ją nad Europę i to kończy ten męczący dzień.

Bacachery, 22 marca. Rano obejrzałem kościół na Orleansie, ładny i bardzo porządnie utrzymany. Dwa boczne ołtarze bardzo ładne, robione z różnych gatunków drzewa miejscowego przez Homana i Józ. Fillipaka. Jest to—jeżeli się nie mylę—jedyny kościół polski w Paranie, który posiada organy. Innym wystarczać musi fisharmonia, a są i takie, które nie mają nic zgoła.

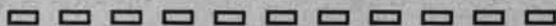
Bardzo oryginalna dzwonnica, ładny dom szkolny, zarazem mieszkanie dla siostr, plebania z pełnym kwiatów wirydarzem składają się na bardzo ujmującą całość.

Dzień dzisiejszy pragnąłem spędzić na wypożyczku w „domu”. Najprostsza droga do Bacachery prowadzi na Kurytybę—20 klm. Ale, że chciałem poznać nowe okolice, że podobno przez lasy ma być droga krótsza, umyśliłem jechać inaczej. I srodze zostałem za to ukarany.

Po bardzo serdecznem pożegnaniu z ks. Miętusem ruszyliśmy przez bogatą kolonię włoską Felicidade. Dużo murowanych dworów, rozległe winnice świadczą o zamożności mieszkańców. Ładny kościół włoski ze strzelającą w górę wieżyczką, przypomina mi pierwowzory europejskie. Odwiedza go dziś nowomianowany biskup. Przejeżdżamy więc pod bramami tryumfalnymi, pod girlandami z kwiatów.

(d. n.)

Ludwik Włodek.



Rzeka Nida.

Charakterystyka rzeki i dorzecza.

(Dokończenie).

Rzeka płynie bardzo krętymi i drobnymi w wielu miejscach zakolami, naprzykład w pobliżu Pińczowa, powyżej mostu wiślickiego i pod folwarkiem Szczytniki; odległość w prostym kierunku pomiędzy niektórymi punktami rzeki jest 8 do 10 razy krótsza, aniżeli wzdłuż jej nurtu. Przez podmywanie wklęsłych brzegów zakola te zmniejszają powoli swój promień krzywizny, dopóki woda przy zwiększonej szybkości w czasie przyboru nie utworzy sobie najkrótszej drogi, porzucając dawny kierunek, który tworzy tak zwane starorzecze w kształcie półksiężyca—zjawisko bardzo często tu spotykane.

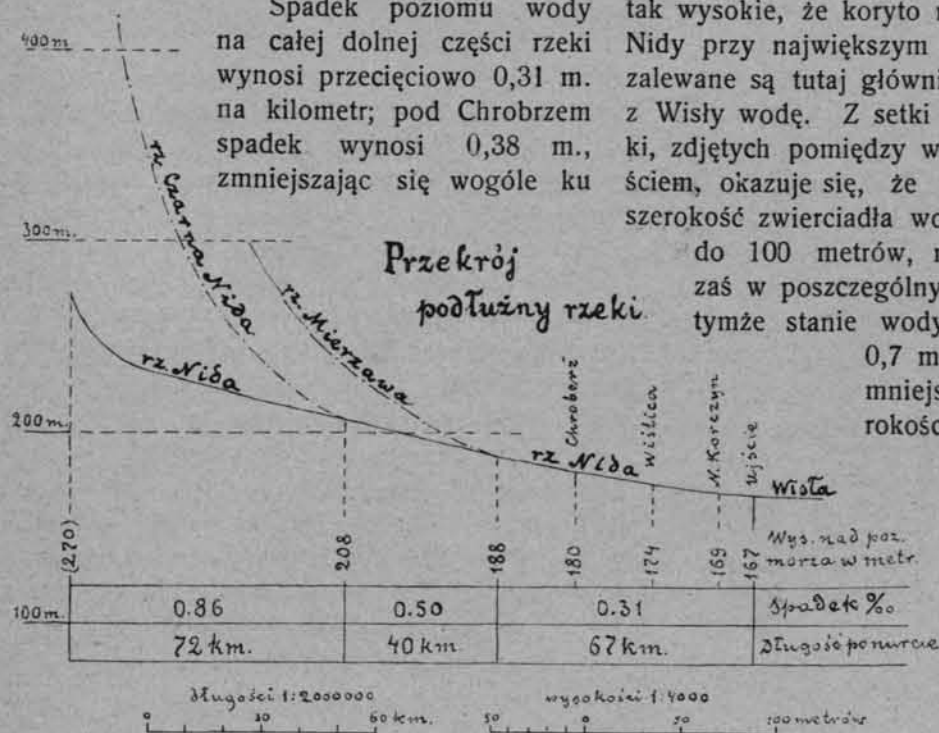
Spadek poziomu wody na całej dolnej części rzeki wynosi przeciętnie 0,31 m. na kilometr; pod Chrobrzem spadek wynosi 0,38 m., zmniejszając się wogóle ku

we znizienia brzegów, naprzykład pod wsią Skotnikami w niektórych miejscach brzegi są wyższe od średniego poziomu rzeki tylko 0,4 m. Brzegi wogóle są nieco wyższe, aniżeli dalszy ciąg niziny. Przy wyższych stanach wody, które się wznoszą do 1,5 metra nad średni stan rzeki, nizina jest zalewana na mniej lub więcej znacznych przestrzeniach, przyczem położone wśród niziny nieco wyższe pastwiska i pola orne są rzadziej zalewane, aniżeli łąki; średnia szerokość zalewanej przestrzeni przy najwyższych stanach wody wynosi 1,5 kilom.; od wsi st. Korczyna, a w każdym razie od Nowego Korczyna brzegi są tak wysokie, że koryto może zmieścić wody Nidy przy największym przyborze, i brzegi zalewane są tutaj głównie przez cofającą się z Wisły wodę. Z setki przekroi koryta rzeki, zdjętych pomiędzy wsią Chrobrzem i ujściem, okazuje się, że przy średnim stanie szerokość zwierciadła wody waha się od 20

do 100 metrów, największa głębokość zaś w poszczególnych przekrojach przy tymże stanie wody waha się od 4 do 0,7 metr., w zależności od mniejszej lub większej szerokości koryta. Przeważnie koryto to jest dość zwarte i głębokie, tylko na mniej krętych częściach, jak to pod Nieprowicami, Jurkowem, poniżej mostu wiślickiego, pod wsią Żukowocami i St. Korczynem, koryto

jest więcej szerokie i głębokość się zmniejsza. Dno rzeki jest wogóle piaszczyste, w wyżej położonych częściach rzeki spotykamy nieco grubszy piasek, w dolnej części kilka kilometrów przed ujściem spotykamy na dnie także namul wiślany.

Wahania stanów wody (z obserwacji od r. 1903 do 1907 włącznie na wodo-



ujściu do 0,23 m., chociaż na niektórych przestrzeniach jest jeszcze mniejszy, dochodząc do 0,18 m. na kilometr.

Brzegi rzeki w miarę zbliżania się do ujścia są coraz wyższe; pod wsią Chrobrzem brzegi wznoszą się 0,8 metra, a przy ujściu do Wisły 4 metry nad średnim poziomem rzeki; na pewnych przestrzeniach widzimy miejsc-



skazie wiślickim) charakteryzują niżej przytoczone dane. Najniższy stan wody był obserwowany w sierpniu 1904 r.¹⁾; do tego stanu odniesiemy wszystkie inne stany wody, a więc średnio niski czyli średnia arytmetyczna z najniższych stanów w poszczególnych latach wskazanego wyżej pięciolecia jest położony 8 centym. ponad najniższym stanem, średni stan wody (średnia arytmetyczna ze wszystkich stanów) 42 cent., średnio wysoki 142 i absolutnie najwyższy, obserwowany 12 lipca 1903 r., 201 centymetrów ponad tymże najniższym stanem. Średnie wahanie się wody w ciągu roku przedstawia się jak następuje: najniższy stan wody bywa we wrześniu i październiku, następnie podnosi się stopniowo, dosięgając w początku marca najwyższego poziomu przy topnieniu śniegów, potem zniża się i znowuż nieco wznosi w początku lipca, lecz nie osiąga tej wysokości, jak w marcu; wreszcie dość raptownie zniża się do września; a więc charakter wahania jest taki, jak i na Wiśle przy ujściu Nidy z tą różnicą, że na Wiśle w tym punkcie wysokości wezbrania w marcu i lipcu nieznacznie różnią się pomiędzy sobą. Wahanie wyższych stanów wody pod N. Korczynem (7 km. od ujścia)

jest uzależnione stanem wody na Wiśle, która przy wyższych stanach

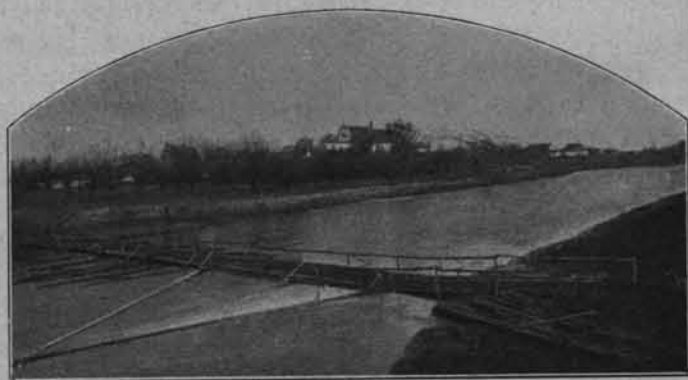
¹⁾ Zero wodoskazu wiślickiego jest położone o 12 centymetrów niżej od tego stanu.



NOWE MIASTO KORCZYN.

cofa się jeszcze dalej poza N. Korczyn, a więc różnica pomiędzy najniższym i najwyższym stanem jest tutaj prawie 2 razy większa, niż pod Wiślicą.

Średni czas zamarzania rzeki przypada na połowę grudnia przy średnim stanie wody 50 cent., średni zaś puszczania lodów na początek marca przy średnim stanie 100 cent. ponad najniższym stanem z r. 1904. Rzeka wolna od lodów jest przecięciowo 281



MOST W NOWEM MIEŚCIE KORCZYNIE.

Fot. J. Kwiatkowski.

dni. Dane te określone na zasadzie obserwacji pod Wiślicą w ciągu wyżej wskazanego pięciolecia.

Przepływ wody przy ujściu do Wisły przy najniższym, obserwowanym w r. 1904, stanie wynosi 4,5, przy średnio niskim 6,5 i przy średnim stanie wody 17,5 metrów sześciennych na sekundę. Dane te są otrzymane, jako przeciętne z kilku bezpośrednio przeprowadzonych przy pomocy młynka pomiarów prędkości wody przy różnych stanach. Absolutnie największy przepływ wody Nidy przy ujściu oceniony na zasadzie cech i wielkości dorzecza wynosi 300 do 400 metr. sześć. na sekundę.

Rzeka ma bieg zupełnie naturalny; b u d o w l i regulacyjnych tutaj nie spotykamy, w kilku miejscach zaledwie znajdują się opaski lub poprzeczki faszynowe, zabezpieczające mosty lub brzegi od podmywania. Również nie spotykamy wałów, zabezpieczających niziny, nie tak rozległe zresztą, jak ponad Wisłą, od powodzi; gdzieniegdzie widzimy tylko nieznaczne nasypy, okalające położone w nizinie

Fot. J. Kwiatkowski.

poła orne. Na dolnej Nidzie znajdują się mosty: pod Pińczowem, pod Chrobrem (o otworze 62 m.), pod Wiślicą jeden na właściwym korycie rzeki (o otworze 48,6 m.) i drugi bliżej tej osady (o otworze około 70 m.); pod tym ostatnim odpływa część wody w czasie większych przyborów. Wolna dla przejścia statków przestrzeń pod tymi mostami ma przy średnim stanie



KOŚCIÓŁ W STARYM KORCZYNI.

Fot. J. Kwiatkowski.

wody 9 m. szerokości i 2 m. wysokości. Pod N. Korczynem jest most pływający z częścią wysuwaną dla przepuszczania statków. Most ten zbudowany został zamiast stałego, zniszczonego przez lody.

Splawność. Już zapewne w górnym biegu Nidy w czasie większego przyboru wody może być splawiane drzewo pojedynczymi sztukami, lecz jako splawna (z zastosowaniem wszelkich praw, stosujących się do rzek splawnych) rzeka jest uznana dopiero od Sobkowa, 8 km. poniżej ujścia Czarnej Nidy. W średnim biegu od tej osady Nida jest splawna tylko dla tratw, a zaś w dolnym biegu także i dla statków (nieparowych). O ile okazuje się z pomiarów głębokości, wykonanych w dolnej części, można liczyć na głębokość przynajmniej około 25 centym. w najpłytszych przestrzeniach tej części rzeki przy stanie wody średnio-nizkim (położonym 8 cent. wyżej od najniższego obserwowanego w r. 1904); stan wody wyższy od średnio-nizkiego trwa w ciągu czasu, kiedy rzeka jest niezamarznięta przez 235 dni. A więc głębokość dolnej Nidy jest względnie dość znaczna, natomiast splaw napotyka większe trudności z powodu bardzo krętego koryta przy dość znacznej prędkości, przewyższającej w niektórych zakolach

przy średnim stanie wody 1 metr na sekundę, a także z powodu zanieczyszczenia koryta w wielu miejscach przez zawaly. To też Nida była zaliczona przez b. Dyrekcyę Ubezpieczeń w Królestwie Polskiem, która przyjmowała ubezpieczenia od strat przy splawianiu towarów, do rzek 3-ej kategorii z żegluga „mniej bezpieczną”. Dokładnej statystyki, co do rodzaju i ilości splawianych towarów nie posiadamy. Z obserwacji zaś w czasie pomiarów w r. 1902 okazało się, że splaw nie jest zbyt ożywiony. Splawiane jest głównie drzewo z górnych części dorzecza oraz na statkach gips z okolic Wiślicy i siarka z kopalni Czarkowy.

W Wiślicy i N. Korczynie są składy drzewa i w pobliżu N. Korczyna tartak parowy. W połowie zeszłego stulecia (jak to zaznacza Wolski w Bibl. Warsz. z r. 1849) wartość przewożonych po Nidzie towarów wynosiła zaledwie 100000 złp. Niedługo, kiedy było więcej lasów, które regulowały niejako odpływ wód oraz kiedy brak było zupełnie dogodniejszych komunikacji, ruch zapewne był więcej ożywiony; to też już w r. 1447 Kazimierz Jagiellończyk wydaje postanowienie o usunięciu wszelkich przeszkód, czynionych żegludze na rzekach splawnych, do których zalicza i Nidę.

Jan Kwiatkowski.



WIŚLICA.

Fot. J. Kwiatkowski.



Sven Hedin w Tybecie.

1)

Książka się zaczyna odrazu, jak bajka.

We wstępie czytamy o bankierach, którzy w ciągu tygodnia zebrali między sobą 80,000 koron¹⁾ na koszty podróży, o autorze, który brakujące 50 tysięcy dołożył ze swojej kieszeni, o królu Oskarze, który oprócz pomocy materialnej rozdał 37 złotych i srebrnych medali azyatyckim towarzyszom podróży Hedina, o poruczniku Kiellströmie, który cały swój urlop poświęcił na przerysowanie map ze sporządzonych odręcznie notatek, o całym długim, bardzo długim szeregu ludzi, instytucji, rządów, które wielkiemu podróżnikowi oddawały do dyspozycji czas, pieniądze, stosunki. Wszystko to razem wygląda, jak wspaniałe a szlachetne w rysunku ramy do obrazu, który stworzyła wielka energia i niemniej wielka wiedza jednostki. Ścisłe naukowa, bez żadnego politycznego, ani handlowego podkładu wyprawa nabiera przez to charakteru czynu wszechświatowej doniosłości, jednego z tych, które dojrzewać mogą tylko na podłożu głębokiej, istotnej, w najlepszym tego słowa znaczeniu europejskiej kultury i które są jednym z jej najbardziej wartościowych czynników.

Była to już piąta z rzędu azyatycka wyprawa wielkiego szweda, który, nawiasem mówiąc, rozpoczął tą całkiem niepowszednią seryę w 21 roku swojego życia. Od czasu przedostatniej—w 1901 r. podejmowanej podróży po krańcach Tybetu—nęciło go, ciągnęło ku sobie jego wnętrze, jego północne zwłaszcza, zgoła nieznanne strony, figurujące w postaci dużych, białych plam z napisem „niezbadane“ na najlepszych nawet urzędowych mapach angielskich. Marzył o potężnych, Himalajom równoległych, łańcuchach gór, o wyniosłych, zawrotnych wirbach i nietkniętych nogą człowieka przełęczach, o nomadach, przenoszących się latem ze stadami w górskie hale, o samotnych, ponurych klasztorach, ze szczytu których dzień w dzień wzywa wiernych nabożny lama do modlitwy, trąbiąc na muszli. Na wiosnę 1905 r. te pragnienia i tęsknoty okazały się nie do zwalczenia. Zachęcony listem lorda Curzona, wice-króla Indyi, obiecującym wszelką możliwą pomoc, rusza 16 października Sven Hedin na nową, większą od poprzednich wyprawę. Przez Konstantynopol, Armenię, Persyę i pustynie Beludżystanu dostaje się do Nuszki, najbardziej na zachód wysuniętej stacyi dróg indyjskich, spuszcza się w ciągu 4-eh godzin z położonego na wysokości 1680 metrów płaskowzgórza do 100 metrów nad poziom morza,

dusi się tam bezmała w 40° gorąca i staje wreszcie 22 maja 1906 r. w letniej rezydencji wice-królów indyjskich—Simli.

Tu na głębokim, turkusowym błękitie nieba ukazują mu się oślepiająco białe, śnieżne szczyty Himalajów, takie bliskie, takie kuszące, takie cudne. I tu spada nań pierwszy, niemiłosierny poprostu cios: rząd angielski odmawia pozwolenia na przejazd granicy. Pomimo najusilniejszych, istotnie najszczerszych starań miejscowych dygnitarzy z lordem Minto, nowym wice-królem na czele, pomimo, że pewne przygotowania, stosownie do obietnicy Curzona, są już pobione, zakaz pozostaje w swej sile, nieubłagany, obracający w niwecz wszystko, sterczący, jak bezduszny głaz, który się zwałił na drogę. Stronnictwo liberalne, które doszło tymczasem do władzy, chce uniknąć za wszelką cenę nawet cienia zatargu z Tybetem, z Chinami, z całym światem i powołuje się na punkt umowy zawartego niedawno pokoju, który wrota Tybetu zamyka przed Europejczykami na sześć spustów. Niema rady i niema sposobu. Pozostają na pociechę zażyłe, serdeczne stosunki, zabawy, przyjęcia w wysokich sferach miejscowych, mieszkanie w pałacu wice-króla, cudne, wieczorne, egzotyczne recepcye, wdzięk, bogactwo, fantastyczność tego życia z tysiąca i jednej nocy—i bezsilne bicie głową o mur, który nie chce ustąpić.

Całe szczęście, że ta głowa była z żelaza. Bo jużcić, tylko w takiej twardej, szwedzkiej głowie mógł się zrodzić pomysł—skoro przejść od frontu nie można—objechania Tybetu od tyłu i tylko takim skandynawczykowi przyjść mogła na myśl pociecha, że właściwie mówiąc, najlepiej jest iść zawsze samemu. 13 czerwca wyjechał Sven Hedin z Simli—do Tybetu.

Spuściwszy się z powrotem na gorące i duszne równiny, skierował się wzdłuż Himalajów przez Kalkę, Ambalę i Lahorę do Ravalpindi, skąd—już końmi—dalej na północ do rezydencji maharadży, „świętego miasta“ Kaszmiru,—Srinagari.

Jak wąż wita się droga po grzbietach przylegających już do Himalajów pagórków. W ciepłym jeszcze, ale coraz bardziej przejrzystym, górskim powietrzu połyskiwały w głębi dolin potoki, ciemniały coraz gęstsze lasy iglaste, ponad nimi coraz bliższe, a wciąż przecie niezbadane i groźne dźwigały się potężne trzony gór. Czasem droga wchodziła w czarne puszcze tunelów, z głębi których rozlegały się melodyjne ostrzegawcze sygnały na trąbce. Gdzieniedzie w poprzek gościńca leżały nieuprzątnięte jeszcze zwaly kamieni,

¹⁾ Szwedzkich; korona — 51,9 kop.



które ledwo co runęły ze szczytów. Długim sznurami ciągnęły karawany, oddziały miejscowych wojsk, pojedynczy jeźdźcy, wędrowcy, żebracy.

Po czterech dniach takiej drogi ukazało się — cprawda wśród ulewnego deszczu — Srinagari. Na wstępie trzeba było przy table-d'hocie incognito wysłuchać mało pocieszających opowiadań o Svernie Hedinie, który już podobno przyjechał do miasta, ale któremu rząd nie pozwoli zapewne przekroczyć granicy. Co gorsza, po paru dniach wiadomości te okazały się prawdą. Anglicy z uporczywą konsekwencją zabraniają wkroczenia do Tybetu przez Kaszmir i co najwyżej nie mają nic przeciwko podróży do chińskiego Turkiestanu, z tem jednak, naturalnem ich zdaniem, zastrzeżeniem, że podróżnik jest w posiadaniu paszportu chińskiego. Oczywiście paszportu niema. Nowa zatem mitręga, nowe gorączkowe kołatania, depesze z prośbą o pomoc do ambasadora szwedzkiego w Londynie — przypuszczać można nowa serya cichych i dobitnych błogosławieństw pod adresem nazbyt ostrożnych gospodarzy. Ostatecznie daje się ledwie uzyskać pozwolenie na dalszą drogę do Leh — skąd można będzie, o ile pozwolenie rządu chińskiego nadejdzie, ruszyć do wschodniego Turkiestanu. Zatem, jako szczyt marzeń otwarcie drogi tam, dokąd się jechać nie ma żadnego zamiaru. Ale aby dalej, aby dostać się tam, gdzie straż graniczna jest mitem, a sama granica czemś zupełnie nieustalonym, niewiadomym i ciemnym.

Tymczasem trzeba zacząć na seryo przygotowania do wyprawy. Do tej pory jest zaledwie — kucharz, mały, czarny indusik Manuel, który jeszcze w Simli zgłosił się z grubą pliką świadectw i oświadczeniem, że „skoro pan jedzie w drogę, to potrzebuje kogoś, co by mu obiady gotował, a że on, Manuel, właśnie umie gotować, więc się rzeczy składają wybornie“ i t. d. Ale kucharz, to jeszcze za mało, i nie chcąc tracić czasu, trzeba się wziąć z całą energią do zdobywania zapasów i werbowania ludzi, rzeczy zawsze na tak wielką skalę niełatwych, a w tym wypadku specjalnie przez okoliczności utrudnionych.

Dużem na szczęście ułatwieniem była pomoc sekretarza maharadży p. Daya Kiszen Kaula, osobnika wielce dystyngowanego i spokojnego, który obiecał zrobić wszystko, co leży w jego mocy, aby ułatwić podróż — do Turkiestanu. Niechaj będzie i tak; błąd i dyskretny uśmiezek małymównych warg indusa zwalniał nawet od tłumaczenia się.

Co większa p. sekretarz nie tylko pomoc obiecał, ale jej nawet dotrzymał. Może trochę wolno i ociążale, ale szło to jednak naprzód. Nabyto 40 mułów, z których tylko cztery wypadło odrzucić, najeto czterech ludzi do zbrojnej eskorty, którzy wyrazili tak gorąco gotowość oddania życia w ofierze, że ich aż wypadło uspokajać i co najważniejsze znaleziono 23-letniego młodzieńca, syna europejczyka i induski, który służył jakiś czas w Peszawarze przy kolei, był później pomocnikiem w szpitalu i okazał się o tyle wyrobiony, że już po paru lekcjach mógł robić samodzielnie obserwacje meteorologiczne. Nazywał się Aleksander Robert.

Poza tem trzeba było gromadzić całe góry zapasów: namioty, siodła, worki, obciążone skórą skrzyneczki drewniane, futra, koldry, materace, garnki kuchenne, baszłyki, buty, czapki, cygara i tytoń (na cały rok), herbatę, konserwy, tkaniny, noże i sztylety na podarki, ryż, mąkę, jęczmień i t. d. i t. d. Instrumenty naukowe, broń, materiały piśmienne i całkowita składana łódka — przyjechały już przedtem z Europy, jak również pod-



PALAC MAHARADZY KASZMIRU W SRINAGAR.

ręczna apteczka w ślicznej aluminiowej skrzyneczce, dar jednego z kupców londyńskich. 22000 srebrnych i 9000 złotych rupii podzielono i pozyszywano w worki.



Jednego z pierwszych dni po przyjeździe odbyła się audyencya u maharadży Dżamu i Kaszmiru—Sir Prataba Singa, małego człowieczka o melancholijnym wyglądzie, który zresztą z niezwykłą łaskawością zapewniał o niezachwianej swej życzliwości i chęci przyjścia z pomocą. 29 czerwca zaś miał miejsce uroczysty, galowy bankiet z racyi urodzin cesarza Indyi, fakt ten tylko dziwny, że jednak urodziny króla angielskiego obchodzone są 9 listopada. Wspaniały, nad samym brzegiem rzeki położony pałac gorzał od świateł, a przed obliczem władcy przesuwiał się świetny i pstry pochód galonów, pióropuszków, turbanów.

Nareszcie 16 lipca nastąpił odjazd. Że naznaczony był na godzinę 5 rano, a odbył się w 12 godzin później, to rzecz tak pod wszelkimi szerokościami geograficznymi zwykła, że stwierdza tylko naturalny porządek rzeczy. Jak zwykle też pełno było gwaru, harmidru i zamieszania. Muły zapalczywie wierzgały, Manuel, który pierwszy raz

w życiu siedział na koniu, usiłował nie zlecieć, pół tuzina amatorów z aparatami fotograficznymi wyległo przed hotel, a ludzie w ostatniej chwili oznajmili, że muszą mieć po 5 rupii na nowe ubrania.

Ale nareszcie — w drogę. Karawana łądem, Hedin na łódce—wodą. Krwawe, gorąco czerwone promienie zachodzącego słońca kładą się jaśkrawymi plamami na ciemne wody, które bliżej brzegów między domami mają barwę hebanu. Twardo i czysto rysują się na rozplomionem niebie kontury domostw. A później, kiedy już noc nastaje, padają na migotliwy, ruchomy grzbiet fali łagodre światła lamp, oświetających wnętrza pokoi, zebranych do obiadów i wystrojonych, jak zawsze, anglików, gałęzie rosnących w pobliżu stuletnich platanów. Czasem się jakaś głowa wychyli ciekawie, patrząc, kto i gdzie o takiej późnej, wieczornej godzinie płynie w ciemność i noc.

(d. c. n.)

Stanisław Thugutt.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

VIII.

W słowniku imion własnych polskich, którego potrzebę uzasadniał niedawno na łamach „Ziemi” p. Zygmunt Gloger i o którym dziś mówi p. Baranowski, winny zająć miejsce poczesne—nazwy ulic.

Sądzę, że dzieje byle jakiej nawet ulicy mogą być conajmniej równie ciekawe, jak dzieje wsi, osady, miasteczka. Tyle na każdej z nich, w najnędniejszych nawet nieraz zaułkach, odgrywało się doniosłych zdarzeń, tyle z każdą związane jest wspomnień i osobistych pamiątek, że jest tego bogactwa, raczej za dużo, niż za mało i gdyby jakąś cudowną siłą wskrzesić przeszłość pierwszej lepszej ulicy, przeciągnąłby przed zdziwionemi oczyma widza pochód o niesłychanej mocy i niewypowiedzianem dramatycznym napięciu. Oczywiście, im miasto jest większe i starsze, im dawniej było poważną jednostką polityczną i kulturalną, tem więcej o każdej z jego ulic dałoby się powiedzieć i tem, nietylko ciekawsze, ale i ważniejsze byłyby ich dzieje. A dzieje ulicy, to bardzo często jej nazwa.

Takich miast w Polsce jest niewiele. Wyłączyłby przedewszystkiem potrzeba te, które życiem żywszem i większem żyły wówczas, kiedy nietylko nazw ulic, ale i samych ulic—w naszym przynajmniej dzisiejszem pojęciu—prawie nie było, ja-

kaś zatem Kruszwica, jakiś Czersk, Warta, Nowe miasto Korczyn, całe zresztą niezliczone szeregi takich doszczętnie zamarłych czy konających stolic. Sameby odpadły następnie niektóre olbrzymie zbiorowiska współczesne, o bujnym, ale niesłychanie jednostronnym rozwoju, w których nazwy ulic są bezdusznymi etykietami, naklejonemi ręką nieżyczliwą, ospałą i znudzoną. Jakaś zatem Łódź, Dąbrowa górnicza, współczesna Częstochowa czy coś w tym rodzaju. Pozostałoby kilka, może kilkanaście miast, których życie krystalizowało się dawniej, a nie nazbyt dawno w formach ściśle określonych i dostatecznie różnorodnych—Kraków, Lwów, Poznań, Wilno, Warszawa.

Przy Warszawie, jak myślę, połowa czytelników uśmiecha się półgębkiem. Owszem, śmiejmy się nawet całym gardłem. To są rzeczy aż nadto dobrze wiadome, że znaczna część nazw ulic naszej stolicy nadaje się wybornie do farsy i że z powodzeniem zgóry zapewnionem można na nich ostrzyć stępiony czy jeszcze niewprawny dowcip. Takich wspaniałych kompleksów nazw, jak w jednej tylko dzielnicy: Złota, Srebrna, Miedziana, Żelazna (sądziłby można, że Warszawa była składem metali na cały świat), jak tuż obok Ciepła, Chłodna i Zimna (niestety! brak Letniej), jak zerkająca na Nowo-Senatorską—Nowo-Miodowa, trudno byłoby znaleźć w lepszym doborze i gatunku. Co



do tych ostatnich specjalnie, domyślać się trzeba, że gnuśność i brak zaufania w swoje siły u ojców chrzestnych ulic warszawskich dochodzi w pewnych momentach do takich granic, poza którymi jest już tylko najzupełniejsza abdykacja ze wszelkich pretensji do pomysłowości, i że dodatek Nowo—jest jedynym w tych razach wyjściem z kłopotliwej sytuacji. Wobec tego Miodowa, która ma już piękną córeczkę w postaci Nowo-Miodowej, doczeka się z czasem zapewne i wnuczki, której będzie na imię—Nowo-Nowo-Miodowa. Ale co prawda ludzie, którzy biorą za myślenie pieniądze, powinni się starać się myśleć, choćby nawet nie byli pewni szczęśliwego wyniku swoich wysiłków i w braku nazw bardziej świetnych, należałoby dostosowywać je wręcz do lokalnego charakteru i wyglądu ulicy; w ten sposób uubyłyby nam może Nowo-Żytnie i Nowo-Wołyńskie, ale byłbyśmy mieli za to Brudną, Głupią i Podupadłą.

Ale to są wszystko tylko koncepty, i to nawet liche, bo smutne koncepty. Jako takie czeplają się jednej strony kwestyi i nie chcą jej zajrzeć—za plecy. Gdyby natomiast zamiast dowcipkowania zastosować w tym razie metodę spokojnej i nawet ani trochę niezgrzybliwej obserwacji, to przekonalibyśmy się, że wprawdzie w Warszawie jest masa ulic, ochrzczonych na chybił trafił, jak z berdyczowskiego kalendarza, ale jest znacznie więcej takich, których nazwy—dziś martwe i beztreściwe—niegdyś były czemś zupełnie żywym i nawet—co beżmała za pochwałę im służy—samorodnie z gruntu wyrosłem. Tylko, że o tem nikt nie chce pamiętać.

Być może, niema w tem nic tak dalece dziwnego. W mieście, w którym wszelka żywa tradycja zamiera, w którym olbrzymia część mieszkańców jest jako góra suchego piasku, co go niewiadomo skąd zły wiatr przywiał, niema nikt czasu na sentymenty. A dla pewnych sfer sentymentem jest wszystko, co nie jest żelazem, tapetą, masłem albo pierzem, co się nie da wysłać za frachtem, ani sprzedać za „krótki“ lub „długi“ weksel. Dla nich oczywiście nazwa ulicy jest pustem brzmieniem policyjnej tabliczki, przybitej na domach narożnych i adresem na kopertę—niczem więcej. Oprócz tego w tej samej Warszawie jest napewno bardzo pokaźna ilość głów, dla których ideałem jest nie staroświecka, niezrozumiała, nic nie mówiąca nazwa—tylko najwspółczesniejsza, najmodniejsza, najbardziej po amerykańsku zastępująca ją cyfra.

Można się w niedalekiej zapewne przyszłości spodziewać wniosku, aby tą konieczną do uszczęśliwienia ludzkości innowacyę jak najrychlej wprowadzić i trzeba będzie dla świętego spokoju za nią głosować, dodawszy tylko poprawkę, podług której cyfra oznaczać się będzie nie tylko ulice i

domy, ale także i ludzi. Będzie to bowiem znacznie prościej i milej pisać do pani swego serca „moja najukochańsza dziewiątko“, a podpisywać „ściskam cię najgoręcej—twój dwieście dwudziesty czwarty“.

Ale dajmy na to, że te ideały nie wszystkim wystarczą, że się nawet będą wydawały niektórym zbyt płaskie. Jest w Warszawie i spodziewam się, nigdy jej nie zbraknie, spora garść ludzi, którzy ją miłują nawet taką, jaką jest dzisiaj i którzy radziby zatrzymać w życzliwej pamięci jej wszystkie metamorfozy, jej drogę od skromnego mazowieckiego zaścianka do faktycznej, czy choćby duchowej stolicy kraju. Tylko, że z dniem każdym coraz trudniej jest nastarczyć temu osobistą pamięcią. Raz dlatego, że ogromnemu, żywiołowemu poprostu rozwojowi miasta nie może nadażyć uwaga i pamięć jednostki, a co gorsze, że dziś w mieście tem coraz mniej jest warunków, sprzyjających rozwojowi poczucia łączności między każdym z jej mieszkańców a całością. Chodzi się po mieście, jak po nieznanym i obcym lesie, a nie pamięta się, kto i kiedy—my czy nasi ojcowie—wydeptał ścieżki, któremi po niem chodzimy. Od nierozumienia zaś czegoś do pobłażliwego nad niem kiwania głową jest tylko krok jeden.

Któż np. nie wrzusał ramionami nad banalnością nazw przecznic, przecinających Marszałkowską, zwłaszcza poza Alejami Jerozolimskimi. Jednakże parę z nich jest cichutkiem już echem bardzo nawet odległej przeszłości, czasów, kiedy w tem miejscu nie było nie tylko dzisiejszych kamienic, ale nawet i samych ulic. Tak np. Wilcza, która nie jest pamiątką myśliwskich zamiłowań ojców miasta, tylko leży na dawnych gruntach, na „włóce“ znanych mieszczan warszawskich—Wilków. Tak również Żurawia, której nazwa pochodzi nie od żorawi, tylko od żurawin, rosnących tu niegdyś w bardzo wielkiej ilości.

Niemniej dziwacznymi wydają się nazwy: Aleksandrya i całkiem już z obca brzmiąca—Maryensztad. Nie kwestyonując ich dziwaczności, dobrze jest jednak wiedzieć, że są to ślady dawnych jurdyk czyli prywatnych miast w mieście, założone—pierwsza przez Aleksandra ks. Zasławskiego, druga—przez Eustachego i Maryę Potockich. Na jaką pamiątkę Potoccy przezwali tak z cudzoziemska swoją posiadłość, nie wiem, faktem jest, że nie tylko główna, ale i wszystkie poboczne ulice miały w akcie nadawczym podwójne, niemieckopolskie nazwy (Gerberstrasse, Brunenstrasse i t. d.).

A Nalewki, te same Nalewki, nad którymi możnaby myśleć 24 godziny, jaki u licha może być związek między ich brodatą ludnością a nosowi i podniebieniu miłym zapachem i smakiem wystającego wiśniaku lub maliniaku. Oczywiście że

den, ale bo też Nalewki, takimi, jakie są dzisiaj, są dopiero od lat kilkudziesięciu, przedtem zaś były jednym z bardziej zacisznych i idyllicznych zakątków Warszawy, pełnym otulonych w gąszcz zieleni dworców, powietrza i światła, jeszcze zaś dawniej stały na tem miejscu „rzapie“ czyli cysterny miejskie, w które nalewano ze źródeł wodę do wodociągów ówczesnych.

I tak możnaby iść długo dalej, czasem kilkadziesiąt, czasem kilkaset lat wstecz, odnajdując, jako źródło nazwy i pierwotnego pomysłu czasem jakąś wybitniejszą jednostkę, czasem jakiś głośny fakt dziejowy, czasem prastary zwyczaj lub jędrny, dosadny i trafny dowcip ludowy.

Nawet przy dzisiejszym wyjałowionym stanie dziejopisarstwa Warszawy nie byłoby to dla przeciętnego śmiertelnika rzecz nazbyt trudna. O nazwach ulic pisał już przed kilkudziesięciu laty dużo i bardzo gruntownie najpoważniejszy z historyków naszej stolicy, Wejnert, sporo też tych wiadomości znaleźć można w bardzo sumiennej pracy p. Małcużyńskiego — „Terytoryalny rozwój miasta Warszawy“. Jeżeli zaś tamte dzieła bądź ze względu na swoje rozmiary, bądź na przyciężką nieco formę, mało mają szans rozejścia się w szerszych sferach, to jest książka, która traktuje o tym samym właśnie przedmiocie, ma dla dzisiejszego czytelnika tą dużą zaletę, że jest niewielka,

a którą się przytem czyta, jak romans, i to taki, w który autor włożył całe swoje serce bezmała.

Jest to dziełko znanego i cenionego poety, Wiktora Gomulickiego — „Z dziejów ulic i uliczek Warszawy“ (w Bibl. Dzieł Wyborowych). Obejmuje coprawda tylko to, czego już niema, zatem ulice, które nie istnieją i nazwy, których zapomniano, ale też to są właśnie rzeczy i najciekawsze i najważniejsze. Że przedmiot sam jest traktowany z najgorętszą, z najtkliwszą miłością — choć i z nieuchronnym, a naturalnym niestety smutkiem — o tem tym, co znają poetę i autora „Opowiadań o Starej Warszawie“, mówić nie trzeba. Z tego względu tem śmieiej pozwoliłbym sobie kwalifikować tę książeczkę, jako jedną z tych, którą znać, przynajmniej mieszkańcom Warszawy — „wypada“. Może to zresztą być nawet i aktualne. Jest, wzmagając się u nas prąd, żądający nadawania ulicom tych imion, które są sercu polskiemu szczególnie drogie i święte. Jest to tak dalece naturalne i słuszne, że oponować niema ani celu, ani zasady. Ale to się nie powinno dziać z krzywdą nazw, z któremi się już całe szeregi pokoleń zrosły, które znano w dniach chwały i w dniach upadku, które wspomniano może drżącymi ustami, jak rzewne wspomnienie, gdzieś bardzo daleko od swoich.

Boruta.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Dnia 28 kwietnia odbyło się zebranie organizacyjne Oddziału Tow. w Chełmie. Założycielami jego zostali: pp. Bronisław Fudakowski, Józef Papieżyński i dr. Edward Łuczowski.

Utworzył się nowy oddział Towarz. w Zawierciu. Do Zarządu powołani zostali: pp. St. Szymański, M. Ginsberg, Br. Szulc i St. Przyborowski.

Komisja wydawnicza przystąpiła do druku Przewodnika po Kamieńcu Podolskim w opracowaniu p. Al. Prusiewicza oraz do wydania monografii parafii Międzyrzeckiej, napisanej przez ks. A. Pleszczyńskiego.

Wobec wyczerpania się znacznej części nakładu wydanych dotychczas pocztówek, przystąpiono do wydania nowych seryj, a mianowicie: 1) Czarna Hańcza, z jeziorem Wigierskim, i kanałem Augustowskim, 2) nowa seryja białowieska, i 3) Czersk.

Przystępując do zorganizowania sieci stacyi pluwiometrycznej w całym kraju, Zarząd rozesłał odezwę do

swych Oddziałów prowincjonalnych, zalecając utworzenie stacyi takich w następujących powiatach: będzińskim, białogórskim, brzezińskim, częstochowskim, hrubieszowskim, janowskim, jędrzejowskim, iżdeckim, kaliskim, kalwaryjskim, kolnieńskim, kolskim, konstantynowskim, kozińskim, krasnostawskim, łaskim, łódzkim, makowskim, marypolskim, miechowskim, niezawskim, nowomińskim, olkuskim, opatowskim, opoczyńskim, ostrołęckim, ostrowskim, pińczowskim, radzyńskim, rypińskim, sandomierskim, siedleckim, sieradzkim, skierniewickim, stopnickim, szczuczynskim, suwalskim, węgrowskim, wieluńskim, włodzisławskim, włoszczowskim i zamojskim.

Na posiedzeniu Komisji do badań łysogórskich ujawniło się, że wobec posiadanych już materiałów niektóre tylko działy — jak etnografia, florystyka, faunistyka i meteorologia — wymagają dalszych studyj na miejscu; inne zaś działy mogą być już obecnie przygotowane do druku. Wydawnictwo ma ukazywać się w miarę opracowywania zeszytami. Opracowania działu geologii podjął się p. J. Lewiński.

Projekt wysłania delegatów Tow. Krajozn. w czasie ferij wakacyjnych na studia krajoznawcze do gub. lubelskiej znalazł poparcie w administracyi dóbr Ordynacyi Zamojskiej. Dzięki zapewnionemu poparciu Zarząd

wysłała w tym roku delegatów w celu zebrania materiałów florystycznych i faunistycznych.

Zapowiedziana przez Oddział Kujawski we Włocławku na maj wystawa krajoznawczo-artystyczna z powodu nieotrzymania pozwolenia na nią od władz — pomimo paromiesięcznych starań — obecnie nie odbędzie się — lecz zostaje odroczone do jesieni.

Stypendyum krajoznawcze na dalsze studia zagranicą Zarząd przyznał na rok 1910/11 p. Tadeuszowi Kołodziejczykowi.

Dnia 8 maja odbyła się pierwsza wycieczka Tow. Krajoznawczego: z Warszawy do Czerska. Zapis był bardzo liczny, tak że aż zaszła potrzeba wynajęcia dwóch statków. Niestety, tym razem pogoda nie dopisała; deszcz padał cały dzień, — pomimo to około 300 osób pod kierunkiem pp.: Al. Hildebranda i Al. Janowskiego marszrutę wypełniło całkowicie; od Wisły do ruin Czerska i potem przez Górę Kalwaryi do przystani na Wiśle wycieczkowicze, przeszli około 6 wiorst pieszo; niektórzy tylko korzystali z wozów. Znaczenie ruin Czerska objaśniał p. Al. Janowski. Wskazówek florystycznych udzielał p. K. Kulwiec.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Ignacy Dzierżyński. Podręcznik szkolny do oznaczania pospolitszych roślin wiosennych, kwitnących w kwietniu, maju i pierwszej połowie czerwca. Warszawa, 1910. Nakładem autora. Cena 35 kop.

Nie mylił się autor, pisząc w przedmowie, że znajomienie się bliższe z przyrodą przez określanie roślin będzie najpewniejszym środkiem zachęcenia młodzieży do dalszych studiów i zbratania się z przyrodą ojczyzną. Brak krótkiego, łatwego i zwłaszcza taniego podręcznika do oznaczania roślin dotkliwie dawał się uczuć przy wykładach botaniki w szkołach, przede wszystkim zaś podczas wycieczek szkolnych. Z prawdziwym też uznaniem należy powitać ukazanie się książeczki p. Dzierżyńskiego i polecić ją gorąco uwadze młodych botaników.

M. W.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

— Wydawany w Kościerzynie w Prusiech Zachodnich przez d-ra Majkowskiego miesięcznik *Gryf*, poświęcony specjalnie sprawom kaszubskim, rozpoczął już od stycznia drugi rok swego istnienia. Pozwała to przypuszczać, że był pożyteczny i ciekawy tego wydawnictwa został na czas pewien przynajmniej utrwalony i zapewniony. Cieszymy się z tego szczerze: *Gryf* bowiem zajmuje ważną placówkę kulturalną, nawiązując bliższej znajomości między ogółem inteligencji polskiej a zapomnianą i zaniedbywaną dotychczas przez nią krainą kaszubską. W trzech pierwszych zeszytach

Gryfa za rok bieżący znajdujemy między innymi następujące studia i przyczynki: „W sprawie pisowni kaszubskiej” p. d-ra Kaz. Nitscha, „Grafika i pisownia kaszubska” p. Lewiatena, „Cenowa i wyjawa na Starogród” (wysoco interesujący opis prób powstańczych z r. 1846 na Kaszubach) p. Janowicza, „Przyczynki do życia ciorsu Derdowskiego”, „Do sprawy chat podcieniowych na Kaszubach” p. Bern. Chrzanowskiego, „Rzemiosło na Kaszubach”, p. d-ra P. S. „Światowid czy Święty Wid?” p. ks. Pobłockiego, wreszcie w każdym zeszyście zamieszczane są „bajki kaszubskie”, stanowiące ciekawą materię dla ludoznawcy. Niska cena prenumeracyjna *Gryfa* (85 kop. kwartalnie w Królestwie Polskiem) powinna zjednać pismu temu liczne kręgi odbiorców z grona inteligencji polskiej wszystkich dzielnic.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

† Tow. opieki nad zabytkami przeszłości dokonało oględzin kościoła w Wysocicach (pow. miechowski gub. kieleckiej). Jest to jeden z najciekawszych zabytków naszej przeszłości, pochodzący z końca XII stulecia. Cały z kamienia wapiennego doskonale zakonserwowanego, nieznacznym tylko przeróbkom ulegał w ciągu siedmiu wieków. Celem szczegółowych oględzin było rozstrzygnięcie zagadnienia, czy kościół ten nadaje się do rozszerzenia, jakiego parafianie domagają się z racji szczupłości pomieszczenia. Jednomyślnie uznano wszelkie przeróbki za niedopuszczalne, przyczem na posiedzeniu uznano za pożądane, by Towarzystwo objęło konserwację tego rzadkiego zabytku naszej przeszłości.

† Komitet tegorocznej wystawy powiatowej rolniczej w Mławie z prezesem Klickim z Windyk na czele krząta się już koło prac przygotowawczych. Wystawa ma być otworzona w d. 28 czerwca, teren jej jest bardzo obszerny i pod każdym względem dogodny. Szkoła handlowa daje swe sale na okazy, które muszą być pomieszczone pod dachem.

† Jak donosi korespondent *Słowa*, w Hrubieszowskiem w ostatnich czasach ogromnie się rozpowzechniło znachorstwo wśród ludu miejscowego. Leczeniem zajmują się nietylko mężczyźni, ale i kobiety. Dużo też grasuje znachorów od zwierząt. Ciągają oni pokaźne zyski z ciemnego ludu. Znachorzy bardzo często, zebrawszy sporo grosza, odstępują swe korzystne przedsiębiorstwa jednostkom, które w dalszym ciągu uprawiają pokątne leczenie.

◆ ◆ ◆

† Wileńskie Tow. miłośników przyrodoznawstwa zajęte jest obecnie kwestyą zbadania miejsc znajdowania się na Litwie fosforytów, mających, jak wiadomo, duże znaczenie z rolnictwie. Podczas letniej wycieczki w roku ubiegłym po Niemnie prezes towarzystwa M. Sobolew odkrył pokłady tych minerałów w pobliżu Druskienik, następnie do towarzystwa zostały przysłane

fosforyty z powiatu wilejskiego. Prezes towarzystwa zakomunikował o odkryciu na Litwie pokładów fosforytów departamentowi rolnictwa, gdzie obiecano towarzystwu pomoc i zapomogę pieniężną dla badań w tym kierunku.

— Koncesjonariusze kolei wołyńskich, właściciel ziemski P. Borysow i inżynier W. Sawicki, wnieśli podanie do ministerium komunikacji o wydanie im koncesji na budowę nowej kolei żelaznej od stacji Żmerynki w gub. podolskiej do m. Chełma w gub. lubelskiej. Projektowana droga ma mieć długości 443 wiorsty; od st. Żmerynki pójść ma na Stary-Konstantynów, Dubno, Włodzimierz Wołyński i Chełm. Oprócz tej głównej linii ma być zbudowana odnoga długości 58 wiorst od Lachowicz do Ostrowa i Ożenina. Linia od Włodzimierza-Wołyńskiego do Chełma przewiduje również odnogę od Hrubieszowa do Zamościa. W sprawie kierunku projektowanej kolei zażądano najpierw opinii władz wojskowych w Kijowie i Warszawie.



— Krakowski ordynaryat książecko-biskupi utworzył radę dyecezyjną konserwatorsko-artystyczną do spraw zabytków sztuki, powierzonych pieczy Kościoła. Celem rady będzie nie tylko czuwanie nad ochroną zabytków, lecz także omawianie w porozumieniu z konserwatorami wszelkich robót konserwacyjnych około starożytnych kościołów, kaplic i t. p. dyecezyi, a nadto wydawanie opinii tak, co do zamierzonej budowy nowych kościołów, jak i przebudowy starych, a wreszcie udzielanie rad i wskazówek, co do malowania kościołów; sprawianie nowych cennych sprzętów i aparatów, aby tym sposobem możliwie skutecznie zapobiedz wkradaniu się do naszych kościołów zagranicznego szablonu i tandeyi.

— Koło architektów polskich we Lwowie urządza w tem mieście pierwszą specjalną wystawę prac architektów polskich.

Wystawa odbędzie się w miesiącu wrześniu r. b. w Pałacu Sztuki na placu wystawowym (Park Kilińskiego) i obejmie następujące prace oryginalne architektów polskich: 1) Projekty, zdjęcia zabytków oraz modele prac architektów polskich nieżyjących, wystawione oddzielnie, jako całości prac poszczególnych autorów. 2) Projekty, zdjęcia zabytków oraz modele prac architektów polskich współczesnych. 3) Wydawnictwa z zakresu architektury i budownictwa w języku polskim.

TREŚĆ: *Bolesław Adam Baranowski* — „W sprawie słownika imion własnych”; *Al. Janowski* — „Krajoznawstwo na III wystawie „Odtamu“ (z 2 ilustr.); *Ludwik Włodek* — „Z wycieczki do Parany” — c. d.; *Jan Kwiatkowski* — „Rzeka Nida, charakterystyka rzeki i dorzecza” — dok. (z 5 ilustr.); *Stanisław Thugutt* — „Sven Hedín w Tybecie” (z 1 ilustr.); *Boruta* — „Gawędy Krajoznawcze”. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Nowe książki. Z piśmiennictwa. Kronika Krajoznawcza. Z naszych krajobrazów — 2. „Wierzyby przydrożne” (ilustracja).

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i 8-ki — Składał i tamał Stefan Turobojski — Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

— W Przemyślu odbyła się w d. 10 z. m. uroczystość inauguracyjną lokalu Tow. Przyjaciół Nauk. Z małych początków, po roku zaledwie istnienia, dzięki zabiegliwości, skrętności i ukochaniu przeszłości przez grono osób, powstały cenne zbiory muzealne, archeologiczne i biblioteczno-archiwalne z całej ziemi Przemyskiej. Dotychczas nagromadzono około 3000 dzieł naukowych, 2000 aktów grodzkich i ziemskich z podpisami królów polskich, kasztelanów, hetmanów, regimentarzy i biskupów, około 1000 medali i monet, oprócz tego wiele starych pieczęci, broni, wykopalisk, sztychów, porcelany, map, klepsydr, biżuterii, obrazów i materiałów z życia społeczno-politycznego.

Na czele tej placówki stanął Dr. Leonard Tarnawski, na kustosza wybrano twórcę i inicjatora, architekta Kazimierza Osńskiego, a na taksatora prof. F. Przyjemskiego.

Pomimo krótkiego istnienia kilkakrotnie już młode Towarzystwo zaznaczyło swą naukową działalność, oceniając od zagłady kilka zabytków przeszłości, a nadto dając inicjatywę do wmurowania na zewnętrznej stronie katedry płaskorzeźby spiżowej ku uczczeniu w roku grunwaldzkim Władysława Jagiełły.

W uroczystości wzięli udział między innymi X. biskup Pelczar i X. biskup Fiszer.



— W ostatnich czasach zwrócono w Wielkopolsce bacniejszą uwagę na moczary, bagna i torfowiska, które do niedawna zajmowały rozległe pustkowia; dzięki odwodnieniu i melioracyom rolnym pustkowia te coraz bardziej zmniejszają się, a w miarę tego i stosunki ekonomiczne obszaru tego stale się poprawiają.

Według statystyki rządowej w r. 1900, stosującej się do poszczególnych powiatów, było w regencyi poznańskiej 182,789,4 ha nieużytków, czyli 10,4% całego obszaru, a w obwodzie bydgoskiej — 142,937,9 ha, czyli 12,4% całego obszaru. W powiatach, leżących w pradolinach Toruńsko-Eberswaldzkiej, Warszawsko-Berlińskiej i Głogowsko-Baryckiej nieużytków moczarowych wykazano przeszło 10%. Są to prawie wyłącznie moczary i torfowiska nizinne, ciągnące się wzdłuż tych trzech nurtów prarzeźnych. Znaczniejsze torfowisko wyżynowe, obejmujące około 300 ha, znajduje się pod Ludomami (pow. Obornicki). Torfowiska nad Notecią i Odrą dostarczają głównie paliwa, gdy tymczasem moczary pasa Baryckiego od najdawniejszych czasów słyną z bogactw rudy żakowej.

